

Rekolekcje Adwentowe Warszawa

Parafia Apostołów Jana i Pawła

Dzień 1 / Niedziela 14.12.2014

Rozpoczynając nasze adwentowe wędrowanie – decydujemy się iść pod prąd. Nie jest łatwo iść pod prąd. Żeby iść pod prąd, trzeba się zatrzymać, choćby na chwilę – i zawrócić. Taka droga ma wymiar znaku, świadectwa, symbolu. Iść pod prąd można wieloma ścieżkami. Kiedy w biurze, w piątkowe popołudnie ktoś zbiera zamówienia na lunch – i ze względu na wierność w małych sprawach, powstrzymujemy się od zamówienia kanapki z szynką i zostajemy przy jabłku i szklance wody – idziemy pod prąd, swoją postawą wskazujemy na to, co dla nas ważne, bez względu na sytuację. Kiedy koleżanka zaprasza nas na niedzielne włóczenie się po sklepach w galerii handlowej – i my wybierzemy spacer, ale z rodziną i do parku – idziemy pod prąd. Nie naprawimy świata, ale wskazujemy sobą na pewną wartość, która stoi ponad rwącym nurtem rzeczywistości, w której wszystko jedno. Ale pod prąd szedł także ów anonimowy niemiecki żołnierz, który odmówił wykonania rozkazu – rozstrzelania zatrzymanych warszawiaków w czasie powstania 1944. Miał odwagę zachować się zgodnie z własnym sumieniem, choć karą za tę wierność była śmierć. Po ludzku przegrał, ale w perspektywie, która dla nas ma znaczenie – odniósł ostateczne zwycięstwo, pokazując, że rwący nurt nie jest wszystkim. Nawet, jeśli wszyscy i wszystko wkoło poddali się szaleństwu – można pójść w drugą stronę, choć ta droga kosztuje.

Adwentowe rekolekcje są zaproszeniem do pójścia pod prąd. Pod prąd, który zredukował dni poprzedzające pamiątkę Bożego Narodzenia do miłego czekania w ciepélku, sprawdzenia, czy i o której wyemitują w tym roku film „Kevin sam w domu”. Od 3 dnia listopada jesteśmy siłą rzeczy włączeni w rzekę światełek, lampek i dekoracji, które łączą w jedno opróżnienie portfela, zaciągnięcie pożyczki, najnowsze gadżety i promocje z poczuciem dobrze przeżytych Świąt. Same Świąta to pełny brzuch, nowy płaski telewizor, migająca choinka i rzesze przebranych na czerwono postaci dziwnym trafem wciąż mieniących się „świętym” Mikołajem.

Czas Adwentu i dni, na które ma nas przygotować – Boże Narodzenie zostały nam tak naprawdę zabrane. Wyrwano im pazur, którym wczepiały się w ludzkie życie i czas – przypominając, wołając, inspirując. Zostało nam dane kolorowe, szeleszczące opakowanie, które krótko bawi, ale po jego zerwaniu pojawia się przerażająca pustka.

Pamiętam sytuację w jednym z centrów handlowych, gdzie za kilka złotych można było posadzić dzieciaka na kolanie Mikołaja, który rzucał kilka utartych formułek i wręczał dziecku paczkę z podarunkiem przyniesionym przez rodziców. Koło „świętego” stała ogromna plastikowa choinka, mieniąca się światłami, a pod nią wielkie, kolorowe, owinięte wstążkami paczki – w domyśle prezenty. Jedno z dzieci zebranych wkoło Mikołaja, na czworakach pochwyciło takie kolorowe pudło i rozerwało papier, wstążki. Odkryło, że w środku jest pusty karton – i trudno mu było odkryć wyraz rozczarowania na jego twarzy... Dekoracja, reklama, zachęta do zakupów. Ale wiele mówiąca dekoracja – tak o tym, czym stały się te grudniowe dni, jak i o tym, co dostajemy, jeśli godzimy się na takie przeżywanie tego wyjątkowego czasu. Bywam często na poczcie – i dwa razy do roku bardzo często słyszę mój ulubiony dialog. - Poproszę kartkę świąteczną? - A jaką pan/pani sobie życzy? Bo mamy taką religijną i taką świecką? - To może taką świecką, z bombkami. Święta Bożego Narodzenia – bez tego, którego Narodzenie mamy świętować...

Zachęcam więc do wysiłku. To nie będzie wygodne, może nawet miłe. Wyłamać się z tej rzeki i rzeszy, która podąża we wskazanym kierunku, kupując, wydając, upychając coraz więcej coraz mniej potrzebnych dóbr w coraz ciasniejszych mieszkaniach, wmawiając sobie i bliskim, że w tym leży owa tajemnica Świąt. Tajemnica, która po zakończeniu gorączki zakupów, kiedy wymienione już zostaną wszystkie nietrafione prezenty, kiedy opadną igły z choinek znika razem ze światełkami w pudełkach, wędruje do pawlacza, na strych czy do garażu. Zostaje po takim świętowaniu pustka, jak pustka ukazała się oczom zdziwionego dziecka, które zerwało kolorową zasłonę z tak zwanego świątecznego czasu, znajdując w środku pusty karton.

Naszą drogę pod prąd dziś, w III Niedzielę Adwentu, rozpoczynamy z Janem Chrzcicielem. On pierwszy – i bardzo wyraźnie, poszedł pod prąd. Jest patronem drugiej części Adwentu, która ma nas przygotować na dobre przeżycie pamiątki Narodzenia Chrystusa. Ciekawy jest dialog Jana i wysłanników starszyny Izraela. Naród wybrany swój Adwent przeżywa do dziś, i tak samo przeżywał go 2000 lat temu. Wobec znaków, tłumów i słów Jana zrodziło się w ich sercach pytanie, które mieli odwagę mu zadać: kim jesteś? Czy jesteś Mesjaszem? Bo my jesteśmy tymi, którzy na Mesjasza czekają. My jesteśmy tymi, do których On ma przyjść. My jesteśmy tym czekaniem przeniknięci, niecierpliwi. Jesteśmy zniewoleni, okupowani przez Rzymian, czekamy na wyzwoliciela, na wodza, przewodnika.

Gdyby Jan myślał po ludzku, szukał własnej korzyści, gdyby płynął z prądem, mógłby przez chwilę pomyśleć: „A co, jeśli powiem im, co chcą usłyszeć? Co się stanie, jeśli im przytaknę? Co się stanie, jeśli powiem: „Spójrzcie wkoło, ludzie mnie słuchają, przyjmują chrzest, nawracają się, porzucają swoje grzechy – czy potrzebujecie czegoś więcej, żeby znaleźć odpowiedź na nurtujące was pytanie? Czy chcecie więcej dowodów na to, kim jestem?” Można sobie wyobrazić, co by się stało po takich słowach w sercach tych, którzy, zapewne szczerze, szukali, czekali, wyglądali pociechy Izraela. Euforia, wybuch radości, wyniesienie Jana Chrzciciela do godności Mesjasza, Wyzwoliciele. Słuchaliby go wszyscy, odbierał by chwałę, żył otoczony szacunkiem, a może nawet lękiem. Po ludzku zapewne niczego by mu nie brakowało. Życie mogłoby się zamienić w spacer po równinie, w słoneczne popołudnie w miłym towarzystwie.

Tymczasem, pytanie zadane przez głodnych odpowiedzi przywódców zyskało odpowiedź, która zamiast spaceru po równinie zapowiada wspinaczkę pod górę. Jan daje świadectwo – rezygnuje z własnego scenariusza, nie stawia siebie na pierwszym planie, nie tylko rezygnuje z tytułu Mesjasza, ale nie przyjmuje nawet porównania do któregoś z wielkich proroków. Staje się czymś z jednej strony ulotnym – a z drugiej strony czymś, co dociera do wielu. Nazywa siebie Głosem, który mówi, opisuje, zapowiada Tego, który ma nadejść, więcej: który już stoi „pośród was”, jak podają niektóre przekłady Pisma. Jan całym sobą wskazuje na Chrystusa, bo rozumie, czym jest jego powołanie. Rozumie, że sam z siebie nie jest w stanie dać słuchającym go choćby tysięcznej części tego, co przyszło wraz z Chrystusem. Od samego momentu żyje słowami „On ma wzrastać”.

Okoliczności naszego życia, nie tylko w Adwencie, nieustannie sprawiają, że wybrzmiewa skierowane do nas pytanie: kim jesteś? Czy jestem pasującym do układanki interesów puzzlem, czy autorem wypowiedzi, które wszyscy chcą usłyszeć w miejsce prawdy? Czy stawiam siebie na pierwszym planie, będąc jednocześnie scenarzystą i reżyserem spektaklu życia? Czy wskazuję swoim życiem na coś więcej? Czy przeżywam mój chrzest jako codzienne wskazywanie na Chrystusa, na odkrywanie tego, co wraz z Nim przyszło na świat, stało się naszą rzeczywistością, koło której często przechodzimy obojętnie, z rutyną, przyzwyczajeniem? Czy w nas Chrystus wzrasta, dotyka świata poprzez nasze słowa, czyny, wybory, myśli, poprzez wspólnotę wiary i nadziei, w miłości?

Czy kiedy świat patrzy na nas, widzi ludzi, którzy czekają na powrót Pana, z rękami

spracowanymi, pełnymi pomnożonych talentów, z przepasanymi biodrami ludzie w drodze, którym obce jest bezczynne i bierne czekanie, z zapalonymi pochodniami, które rozświetlają gościniec naszego życia, ścieżki, którymi chadzamy my sami i ślady, po których chadzają nasi bliźni? Czy widzi ludzi objuczonych szeleszczącą folią, owiniętych sznurami 'ledowych' światełek, biegnących ku najbliższej wyprzedazy, po kolejny kredyt, ze świeckimi kartkami czekającymi w skrzynkach pocztowych, z rękami pełnymi wyszukanych prezentów, które nie pochodzą z serca, ale coraz bardziej pustego portfela? Zanurzonych w głośniejszej, ale płytkiej radości świątecznych melodii z galerii handlowych, skąpanych w sztucznym świetle gasnących żarówek?

Przeciwstawienie światła i ciemności jest bardzo obecne w dniach Adwentu. Najwyraźniej uczestniczymy w tym zwycięstwie światła we mszy roratniej, która rozpoczyna się w ciemności, rozjaśniona tylko płomykami świec i lampionów, które przynosimy we własnych dłoniach. Od nas zależy, czy światło będzie obecne w przestrzeni naszego życia, czy je przyniesiemy w sam środek naszych ludzkich spraw, czy pozwolimy mu oświetlić nasze kroki, by rozpoznać twarze bliźnich. Kiedy to się dokonuje, dokładnie, jak w mszy roratniej – wspólnota, która pomaga sobie pielgrzymować, oświetla swoim wysiłkiem, swoją obecnością wspólną drogą, rozbłyska Chwała – i świątynia zalana jest światłem, które oddaje Kościół skupiony wokół Chrystusa, Światłości świata, który nie gasi kłosa o nikłym płomyku, wątlej trzciny nie przełamuje, ale umacnia i pozwala oglądać się w prawdzie.

Chrystus wypatruje w nas co roku blasku tego Światła, które nie zna zachodu, którego ciemność nie ogarnia, które oświetla każdego człowieka. Wypatruje jak ten, który wszystko zostawił w rękach swoich sług i wyruszył w drogę.

Co roku dana nam jest łaska odkrywania tego Światła, które powierzyło się człowiekowi, w prostocie i bezbronności dziecka, które kwili, wyciąga ku nam swe ręce i prosi o miłość, które wyciągając te same ręce na krzyżu, da tej miłości najwierniejsze i ostateczne świadectwo, dla nas i dla naszego zbawienia.

Uczestniczymy w tym misterium światła każdego dnia, naszą obecnością, modlitwą, naszym 'Amen', wypowiedanym wobec Chrystusa, przychodzącego do nas w Eucharystii, w sakramencie pojednania. Odzieramy nieustannie nasze życie ze złudzeń, z kolorowych opakowań – ale nie po to, żeby odkryć pustkę, ale wręcz przeciwnie – aby dotknąć obfitości, pełni prawdy o Panu, o Jego Kościele i w końcu o nas samych. To jest ten trud, pójście pod prąd, które kosztuje.

Przed nami 4 dni rekolekcji – czasu, który dajemy sobie w prezencie, czasu, który otrzymujemy w darze. 4 kroki bliżej tajemnicy Bożego Narodzenia. 4 okazje, by zadać sobie pytania: kim jestem? Na Kogo wskazuję swoim życiem? Kim jest Ten, który przychodzi? Co rodzi się we mnie na skutek tego spotkania? Nie są to pytania retoryczne, nie rzucamy ich w pustkę, gdzieś przed siebie – one padają tu, pośrodku tej wspólnoty. Jesteśmy tu, by stanąć w kręgu Światła, by rozpoznać Chrystusa obecnego w znakach chleba i wina, w płomieniu świecy, w znaku ołtarza, we wspólnocie braci i sióstr, którą symbolizuje adwentowy wieniec. Stajemy wobec wielkiego bogactwa symboli, obrazów, znaczeń, które niestety z czasem przestały do nas mówić, a my zapomnieliśmy, co znaczą. Spróbujemy przez te 4 dni pójść trochę pod prąd, poszukać wspólnie odpowiedzi, odnaleźć siebie na drodze do Bożego Narodzenia.

Dzień 2 / Poniedziałek 15.12.2014

Wczoraj rozpoczęliśmy naszą rekolekcyjną, adwentową ścieżkę pod prąd. Spotkaliśmy przewodnika, Jana Chrzyciela, który wskazał nam kierunek pielgrzymowania. Nie tylko pod prąd, ale także w kierunku prawdziwego Światła. Trudno podróżuje się drogą, która pozbawiona jest znaków. Wygodnie jest, kiedy droga jest oznaczona, kiedy pojawiają się informacje o niebezpieczeństwach, o odległościach, o miejscach, gdzie można się zregenerować.

Znaki sprawiają, że wiemy, dokąd zmierzamy; pozwalają zaplanować drogę, przebyć ją bezpiecznie. Ale aby tak było, konieczne są dwie rzeczy. Pierwsza, to rozumienie znaków. Druga – nieustająca czujność. Każdy kierowca, każdy pieszy wie, ile zależy od czujnego podróżowania. Nie wystarczy wsiąść do samochodu, nie wystarczy zaopatrzyć się w wygodne obuwie. Samo to nie zagwarantuje nam osiągnięcia celu podróżowania czy wędrówki.

Adwent jest trochę jak zimowe podejście na którąś z gór zaliczanych do Korony Ziemi. Samo podejście jest dla nielicznych, trzeba być trochę jak „Superman” - kondycja, odwaga, wiedza, opanowanie, gotowość do poświęceń. Nie brakuje jednak śmiałków, którzy wspinają się porą zimową, gdzie zadanie jest o wiele trudniejsze, ryzyko jeszcze większe, wymagania rosną z każdym krokiem. Konieczna jest współpraca, więcej – ekipa musi działać jak jeden organizm, musi być ktoś, kto czuwa nad całością, analizuje informacje, warunki pogodowe, podejmuje decyzję o wejściu czy zejściu. Każda próba wspinaczki na wybraną górę wyznacza nową ścieżkę, pozwala spojrzeć na górę inaczej, pod nowym kątem, daje poczucie osiągnięcia czegoś niezwykłego, dostępnego wybranym. Adwent także rozgrywa się zimą. Górą, na którą się wspinamy, jest prawda o Słowie, które stało się Ciałem, o Bogu który z miłości stał się człowiekiem, aby człowieka wprowadzić na górę spotkania, aby człowieka pogubionego na ścieżkach życia zaprowadzić do domu. Kiedy pomyślimy o tym, jak ogromnym wydarzeniem było to zejście Boga do człowieka, gdy pomyślimy, jak wielkim wybaniem jest to wspięcie się człowieka na wyżyny, które ofiaruje Chrystus – mamy swoją górę, swoistą Koronę Życia, na którą każdy wchodzi własną ścieżką. Nie jest to rekreacyjna ścieżka, tylko droga na górę, na której szczycie stoi Krzyż.

Przez wieki Adwent i Wielki Post przygotowywały Kościół na przeżycie dokładnie tego samego wydarzenia, które dokonało się w Chrystusie. Przeżywamy je w dwóch Prawdach – prawdzie Betlejem i prawdzie Golgoty. W ikonografii, kiedy nauczymy się ją odpowiednio czytać, często widzimy elementy łączące jedno i drugie wydarzenie. Grota Betlejem i grota Bożego grobu wyglądają identycznie. Dzieciątko zawinięte jest nie w pieluchę, a w pogrzebowy całun, Trzej Mędrcy, Królowie i ich dary odpowiadają trzem kobietom, które w niedzielny poranek szły do grobu namaścić ciało Pana i nie znalazły Go. Jeden i ten sam Chrystus, jedno dzieło Odkupienia, Znalezienia człowieka.

I nie jest to połączenie wymuszone, ale naturalne – bo jeden i ten sam jest Chrystus, od Wcielenia po Wniebowstąpienie czyniący jedną wolę Ojca: by odnaleźć to, co było zginęło, bo byli jedno, by mieli życie, i mieli je w obfitości. Kościół jest wspólnotą, która żyje nadzieją. Ta nadzieja ma na imię Chrystus. To Nim jest przeniknięta nasza rzeczywistość, w Nim „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” - i to przenikanie trwa od „fiat” Miriam, prostej dziewczyny z Galilei aż do momentu, gdy dokona się historia, gdy Chrystus stanie się wszystkim – we wszystkich.

Kościół jest trwaniem Chrystusa w świecie. Ile głębi kryje się w tym prostym zdaniu – ile z tego jest dla nas ważne, ile z tego uczynimy treścią naszego życia, zależy od ciebie i ode mnie, od nas wszystkich. Życie Kościoła, nasze życie, to nie jest bierne oczekiwanie – w ucisku czy w ciepłym komforcie. Życie Kościoła to nie pielęgnowanie cennych bibelotów czy pamiątek. Kościół jest żywy życiem Chrystusa – które ma się objawić w naszym życiu poprzez Chrzest.

Adwent jest nie tylko przygotowaniem się do pamiątki Świąt. Jest także obrazem naszego, ludzkiego życia, które poprzez Chrzest staje się życiem zanurzonym w Chrystusie, wyczekującym Chrystusa, niosącym Chrystusa światu.

Każdy dzień, miesiąc i rok zbliżają nas do spotkania z Chrystusem w wymiarze naszego życia – i niech to nie będzie dla nas spotkanie z nieznanym, z zapomnianym, z ominiętym. Jeśli ten czas ma przynieść owoce, jeśli nasze życie ma być owocne, ma być trwaniem w winnym krzewie – dosłownie musimy ubrać się w Chrystusa, jak ubieramy się w białą szatę w chwili Chrztu Świętego. To nie jest tylko pusty gest, niezrozumiały symbol. Nasze życie od tej chwili jest przyobleczeniem się w Chrystusa.

Trochę jak zawodnicy przed wyjściem na boisko – ubierają się w sportowy kostium,

charakterystyczny dla każdej drużyny. Nie czynią tego tylko po to, żeby ładnie wyglądać. Jest to ważne tak dla nich, jak dla widzów – siedząc nawet bardzo daleko od płyty boiska są w stanie dojrzeć, kto jest przy piłce, wiedzą, co się dzieje – czy drużyna jest w natarciu, czy defensywie. Tak samo w pędzie gry zawodnicy wiedzą, gdzie kierować piłkę, żeby wysiłek całego zespołu skończył się powodzeniem. Chrześcijanin wbiega na płytę boiska życia – i ma być czytelnym znakiem, dla jakiej drużyny gra, która bramka jest jego bramką. Ta sportowa analogia niech nas poprowadzi do przyjrzenia się, jakie barwy przybiera nasza drużyna na czas Adwentu, jakie zewnętrzne znaki komunikują nawet tym, którzy siedzą na najbardziej odległych krzeselkach stadionu, co się dzieje, o jaką stawkę toczy się ta gra!

Od pierwszej niedzieli Adwentu kolorem, który przyoblekamy jest fiolet. Kapłan przy ołtarzu, w konfesjonale, w czasie nabożeństw przywdziewa kolor fioletowy. Nie tylko na znak tego, że Adwent jest czasem postnym i pokutnym, choć w innym niż Wielki Post, znaczeniu.

W osobie kapłana widzimy figurę nas wszystkich, wspólnoty Kościoła, która staje wobec i wkoło swego Pana. Fiolet powstaje przez zmieszanie dwóch barw: czerwieni i błękitu. Czerwień jest kolorem, który symbolizuje prawdziwe człowieczeństwo Chrystusa, prawdziwe aż do krwi przelanej dla nas i dla naszego zbawienia.

Błękit symbolizuje boskość Chrystusa, jego Królewski wobec czasu i przestrzeni tytuł, symbolizuje posłanie, misję, którą wykonał – dla nas i dla naszego zbawienia. W fiolecie te dwie barwy mieszają się nierozzerwalnie, tworząc nową jakość, w którą mamy się przyoblec w momencie Chrztu, którą ubieramy na siebie symbolicznie w osobie kapłana sprawującego liturgię, w której człowieczeństwo i bóstwo Chrystusa stają się dla nas dostępne w tym, czego nam trzeba – w znakach chleba i wina, pokarmu, dającego siły w walce, w pielgrzymowaniu. Aby nie ustać w drodze, aby nie wypuścić z dłoni pochodni, nie ustać w czujności!

Adwent to czas narastającej światłości. Piękny jest obraz, kiedy wczesnym rankiem – czy pod wieczór, widać schodzących się uczestników mszy roratnich, którzy niosą zapalone świece czy lampiony już w drodze do kościoła. Ciemna świątynia powoli wypełnia się światłem oczekiwania na przyjście Pana, dosłownie i prawdziwie, w liturgii Mszy Świętej. Przestrzeń kościoła wypełnia się światłem, światło pomnaża się, zalewa ciemną nawę. Przy ołtarzy płoną świece wieńca adwentowego, płonie świeca roratnia.

Wieniec adwentowy symbolizuje przede wszystkim wspólnotę Kościoła, pośrodku której jaśnieje Pan. Oddaje też pełnię czasu, moment w historii, kiedy Słowo, wszechmocne, stwarzające, stało się Ciałem i zamieszkało wśród nas – pięknie oddaje to gest umieszczenia w wieńcu adwentowym w dzień Bożego Narodzenia figurki Bożego Dziecięcia. To on jest naturalnym wypełnieniem tej przestrzeni wieńca, a więc naszej historii, historii świata. On jest sercem Kościoła, a my jesteśmy zielonymi, żywymi dzięki Niemu gałązkami.

Duża świeca roratnia, biała, smukła, symbolizuje Maryję, Matkę Chrystusa, Matkę Kościoła. W niej zapłonęło Światło Słowa, stała się niosącą światu Chrystusa, radość odwieczną.

Jeśli te znaki pozostaną dla nas nieme, jeśli nie dostrzeżemy tego, co czeka za nimi – Adwent będzie czasem niezrozumiałym, czasem do „przeczekania”, a Święta trzeba będzie ubrać w coś, co da wymierną korzyść, przyjemność, radość – bo ich istota pozostanie gdzieś poza nami!

Mamy czas na czytanie znaków, tych kilka rekolekcyjnych chwil to cenny dar, który możemy sobie nawzajem podarować, który możemy od siebie przyjąć. Mamy czas na to, żeby je kontemplować, popatrzeć na nie przez dłuższą chwilę i dostrzec, jaki ogrom miłości i treści kryje się za nimi. Możemy wpuścić do naszego wewnętrznego świata, podjąć wysiłek i ustawić je na drogach, którymi zmierzamy do tych wyjątkowych dni. Dla siebie i dla tych, którzy pokonują tę drogę razem z nami.

Dzień 3 / Wtorek 16.12.2014

Usłyszana przed chwilą Ewangelia nie jest jedyną, w której pojawia się ojciec i jego dwóch synów. Tak samo, jak przypowieść o miłosiernym ojcu i marnotrawnym synu – nie straciła nic ze swojej aktualności i mocy. Niezgłębiona mądrość Ewangelii, kryjąca się w prostych przypowieściach i opowieściach Jezusa z Nazaretu wykorzystuje relację, która wiąże każdego z nas – relację rodziny, by związać nas z sercem ewangelijnego przekazu. A ten nasycony jest pragnieniem Boga, który chce, aby człowiek zrozumiał siebie, zrozumiał głębokie często pęknięcie w ludzkiej naturze, które przyniósł grzech, i pragnie, by człowiek przez relację z Chrystusem doznał scalenia, odkupienia.

Bóg pragnie, by podjął człowiek trud zbawienia wysłużony na Krzyżu, by przyjął i nie odrzucił ofiarowanego mu szczęścia. Nie przypadkiem pojawia się obraz winnicy, która nie jest miejscem relaksu, popołudniowej drzemki – jest miejscem ciężkiej pracy, pracy w skwarze dnia, mimo zmęczenia, zniechęcenia. Winnica jest miejscem, które od razu poddaje próbie wysiłek pracownika – jeśli praca jest zrobiona byle jak, niedokładnie, nie w porę, owoc winnicy, wino, nikogo nie zachwyci. Nie stanie się dobrym owocem, powodem do dumy – będzie wylane, nie da ludziom radości, raczej będzie rodziło wstyd i rozczarowanie, wyrzuty sumienia.

Czytając Pismo, zauważymy, że winnica jest w sposób szczególny ziemią wybraną przez Pana. Jest obrazem człowieka, który jest umiłowaną ziemią Boga, jak zwykł pisać Roman Brandstaetter. Bóg wziął tę ziemię, ten proch i tchnął w nią życie. Nie po to, by rodziła cierpkie jagody i kwaśne wino!

Dwóch synów, jedno polecenie, dwie odpowiedzi, dwie postawy. Może się to wydawać niewiele dla kogoś szukającego mądrości czy odpowiedzi. Ale Ewangelia, kiedy wziąć ją na poważnie, sprawia, że to niewiele tłumaczy nam wiele, rysuje obraz naszych doświadczeń, które nie są nam obce, mimo że nie mamy winnicy, nie produkujemy wina i akurat nie jesteśmy synem, tylko córką.

Tych dwóch młodych ludzi, ich słuchanie Ojca, wewnętrzny świat, stosunek do swego majątku i dziedzictwa, gotowość do podjęcia trudu pracy stanowią doskonałe odbicie naszego życia jako chrześcijan. Tego, jak jest z naszym słuchaniem Ojca, jaki jest nasz wewnętrzny świat, jak wygląda nasze życie, jak traktujemy powierzone sobie dobro, jak odbieramy konieczność wysiłku, trudu, wierności, tego, co dla nas stanowi wartość dla

której gotowi będziemy do poświęceń. Wiele mówi też do nas o tym, jaki jest owoc naszego życia, w czym go rozpoznajemy.

Ten krótki tekst ujmuje jedną z podstawowych prawd Adwentu, która zawiera się w wezwaniu do prostowania ścieżek, dróg dla Pana. Nie jest tak, że Pan Bóg nie poradzi sobie na wyboistej drodze, albo nie podejździe pod stromą górę – bo pod górę wszedł, dźwigając całość doświadczenia zła, które wyprodukował świat, zebrał w tej morderczej drodze wszystkie kwaśne jagody, jakie zrodziły winne krzewy w winnicy świata i historii, i podano mu do skosztowania ten niepijalny napój, ocet ze zwietrzałego, kwaśnego wina. I poznał jego smak, ale go nie przyjął, wiedział bowiem, jaka jest jakość dobrego wina, które daje człowiekowi w obfitości; obfitości tak bardzo godzącej w nasze aptekarskie wyliczenia dobra, którym się dzielimy. Bóg nigdy nie pozwoli pokonać się w hojności wobec swego stworzenia, jest Dawcą absolutnym, hojnym, bo wie, kogo obdarowuje!

Wezwanie do prostowania dróg, czyli wezwanie do nieustannego nawracania się do Pana i dla Pana jest potrzebne nam. Bo mamy wrodzony talent do plątania naszych życiowych ścieżek i dróg. Potrafimy zamienić drogę twardą, ubitą, z wyciętymi na poboczach krzewami, którą można iść bezpiecznie, wygodnie – w zarośnięty, zachwaszczony, wiodący na manowce błotny szlak, który wykręca kostki, gubi wędrowca, brudzi i tyła, sprawiająca, że idąc odwracamy się lękliwie na każdy głos pękającej w mroku gałęzi. Potrafimy sprawić że między tobą a mną, choć widzimy się i słyszymy, będą kilometry nie do przejścia, które zniechęcą, zawrócą, sprawią, że się nie spotkamy. Co więcej, to właśnie te drogi potrafimy latami, pokoleniami pielęgnować, dbając o ich złowieszczą naturę, złowrogi wygląd.

Potrafimy też, korzystając z innego wrodzonego talentu, ironii, cynizmu, przekory wmówić sobie, że te ścieżki to domena Kargulów i Pawlaków – trywializując poważny problem, lekceważąc jedyne wezwanie, jedyne polecenie, które może nie tylko uchronić nas przed kontuzją, zagubieniem – ale może otworzyć oczy i serca, i czyni to.

A to już jest niebezpieczne, to pozbawia oręża, wystawia w bezbronności wobec Boga i bliźniego – stawia w sytuacji, gdzie ani upór, ani chichot nie ujmą ciężaru chwili spotkania, kiedy mimo stanu dróg naszego życia dojdzie nimi na spotkanie Pan. I nie przyjdzie, aby straszyć, nie przyjdzie, aby grozić. Osądzi nas drogą, którą doszedł na to spotkanie, osądzi nas wino, które podamy strudzonemu Wędrowcy. Osądzi nas nasza praca w winnicy, czyli miłość.

Bo jest ta przypowieść słowem o miłości – miłości do Ojca, który posyła swoich ukochanych do troski o to, co najcenniejsze, co wybrane, o siebie nawzajem.

Miłości do słowa, które albo może stać się w naszych uszach słowem życia, słowem posyłającym do winnicy, do trudu, do przemienienia twardej, często nieurodzajnej ziemi w dobry owoc. Słowa, które nas zna, wie, co mamy robić, wie, że właśnie praca w winnicy jest dla nas dobra – czyli wie, że potrzebujemy czegoś, co będzie wyzwaniem i wezwaniem czyli powołaniem, a takim słowem wypowiedzianym nad wybraną ziemią Boga jest dla każdego z nas tu zebranych nasz chrzest i jego nieusuwalne znamię, jak stempel na skórze, które się nie zetrze, znak bycia umiłowanym, bycia posłanym.

Ta miłość nas zna, i wie, jakie rozdwojenie w sobie nosimy – często pełni szlachetnych intencji, dobrych zamiarów – i przepelnienie goryczą, że tak wiele z nich przepada w konfrontacji z tak zwaną prozą życia, w starciu z pokusą do złego. Ta pokusa dla pracownika winnicy to obietnica wybornego wina, które nie będzie owocem trudu, pracy, posłuszeństwa, wyrzeczenia, miłości – będzie winem z tabletki, *ersatzem*, podróbką. Z zewnątrz może podobną do wina, ale o smaku wykrzywającym usta, wykrzywającym wewnątrz aż do kości. I niestety nie brak amatorów takiego wina, idących na skrót grzechu, przyzwyczajonych do niego. I to nie jacyś oni, do wytykania palcami, bliżej nieokreślona grupa – ta skłonność do złego smaku, do dróg na skróty jest w samym środku naszej wspólnoty i doświadcza jej każdy w ciszy sumienia, zbierając swoje kwaśne jagody przed każdą spowiedzią.

Ta miłość wie, że często przyjmujemy postawę buntu. Na słowo ojca, na wezwanie, powołanie potrafimy zareagować buntem – nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Mam swoje plany, swoje życie, najwyżej będę rozcierał własne siniaki. I mówię o tym głośno! Ale w ciszy serca, w sanktuarium sumienia wiemy, co jest słuszne, wiem, co należy czynić. I pokonując swój własny opór, prostując swoją ścieżkę przechodzę przez bramę winnicy, po cichu, bez fanfar, bez krzyku, który charakteryzował zewnętrzny bunt. Odnajduję to, co jest dla mnie przygotowane – moje życie, moją pracę, mój owoc, moje spotkanie z wypowiedzianym nade mną słowem. Troszczę się o to, co mi powierzone i po cichu cieszę się dobrym smakiem wina, które jest owocem mojego życia dzień po dniu.

Ta miłość wie, że możliwa jest i inna droga. Droga ślicznego opakowania, przytakująca, zgadzająca się przymilnie. Ten syn z przypowieści jest jak ziarno, które upada na pobocze drogi. Ochoczo się zgodzi, przyjmie słowo, powierzone sobie dobro i jak tylko zamkną się

drzwi ojcowskiego domu – zniknie jego dobrotliwy uśmiech. Nie znajdzie swojej ścieżki do bramy winnicy i nie przekroczy jej. Nie zadba o krzewy i owoce, dopuści do jej rozkradzenia, zapuszczenia, śmierci. Będzie kluczył, żeby nie spotkać pytającego wzroku Ojca – co uczyniłeś z moją miłością, moim wybraniem, swoim życiem?

Pokuśmy się nadać wieńcowi adwentowemu, na który patrzymy, kolejne symboliczne znaczenie. Niech na ten wieczór stanie się dla nas ową winnicą z przypowieści. Miejscem, w którym człowiek wracający nieraz ze swych poplątanych drózek odnajduje prawdziwe Światło, godne zajęcie dla swych rąk i owoc swego wysiłku, który ma dobry smak, który daje radość.

Niech ten zielony krąg stanie się na moment bezpieczną, ogrodzoną przestrzenią, w której wzrasta życie – wzrasta dzięki naszemu poświęceniu, dzięki temu, że wypowiedziane nad nami i naszym życiem słowo Miłości nie pada na nieurodzajną glebę, gdzie kiełkuje, wzrasta, owocuje.

Popatrzmy na siebie, jak tu jesteśmy, z perspektywy winnicy. Może nie widać nas jeszcze na horyzoncie, może mamy ręce spracowane i spękane od ciężkiej pracy, może właśnie moja ręka obejmuje klamkę drzwi, i towarzyszy jej myśl „wejść czy wyjść”?

Niezależnie od miejsca, w którym się znajdujemy ważne jest, że ktoś nas widzi. Wnętrze winnicy nie jest puste – jak nigdy pustym nie jest wewnątrz ten adwentowy wieniec. Każdego z nas obejmuje spojrzenie, które nas zna i wychodzi naprzeciw, zawsze z radością, zawsze z nadzieją, zawsze z miłosierdziem. Nie krępuje, nie przymusza – trwa, jak trwa wypowiedziane przez Ojca słowa: Idź i pracuj dziś. Chrystus jest wcielonym Słowem, które wrywa człowieka z bezruchu, jest wezwaniem „idź i pracuj”, bo wielkie jest żniwo, wielka praca do wykonania!

Ojciec składa w nasze ręce los największego daru, największego talentu, jak złożył w człowieku: swego Słowa, które z miłości stało się Ciałem, najmniejszym, kruchym, zdany ludzką odpowiedzi, zainteresowanie, miłość.

Słowo „dziś” przypomina, że to teraz jesteśmy wezwani, powołani. Nie w przeszłości, która przebrzmiała – nie w przyszłości, którą można odkładać w nieskończoność. „Dziś” nie ma daty przydatności do spożycia, tak samo jak słowa „kocham cię”. Ciągłe powtarzane, ciągle brzmiące ma tę samą moc i tę samą siłę przyciągania. To „dziś” dzieje się wszystko, o czym mówimy, to dziś jesteśmy wypatrywani, to dziś jest Twoje.

Dzień czwarty / Środa 17.12.2012

Każdy z nas ma przynajmniej jedno. Czasem na widoku, w ramce, czasem schowane w szufladzie komody, dziś może bardziej zeskanowane i przechowywane w cyfrowej chmurze. Rodzinne zdjęcie. Mała grupa – lub kilka szeregów osób wyprężonych do zdjęcia. Twarze lekko rozmazane, bo z daleka, albo ostre, bo fotograf miał wprawę, wiedział, jak ustawić ludzi do ujęcia. Najcenniejsze stają się jak wino, po latach. Choć, popatrz, skąd jesteś. To wujek Heniek – to był gość. A to ciocia Helenka – dziwna osoba. Mama, Tata – młodszy, bez ciężaru lat na sobie. Dziadek Józef – on nawet na zdjęciu nie ma zamkniętych ust, zawsze miał coś do powiedzenia. Wiecznie skwaszona kuzynka Eulalia, nie pamiętam, żeby widział ją uśmiechniętą. Może przez chorobę? Bratanek Piotr – chyba jeden jedyny raz, jak nas odwiedził, i załapał się na zdjęcie. Kombinator jakich mało, zawsze spadał na cztery łapy.

Nie zawsze te zdjęcia to laurki, ale prawie zawsze wzbudzają potok wspomnień, refleksji. Mówią do nas. Rzeczywiście pomagają osadzić się w czasie i przestrzeni, zobaczyć, skąd jestem, gdzie są moje korzenie. Jak rosło drzewo mojej rodziny.

Mam trochę żalu do Mateusza Ewangelisty. Za ten rodowód Jezusa, który, który wieńczy naszą rekolekcyjną drogę. Trudna jest ta Ewangelia. Pamiętam starszego proboszcza, który kiedyś przed mszą roratnią nakazał wikaremu, aby wybrał jakąś inną ewangelię, bo co ludziom po tej książce telefonicznej bez numerów.

Mój żal do Mateusza polega na tym, że skoro zrobił takie zdjęcie rodzinny Chrystusa – mógł przy każdym obco brzmiącym dla nas w większości przypadków imieniu dodać jedno-dwa zdania komentarza. Bo o ile przy odrobinie dobrej woli jesteśmy w stanie z ciekawości zajrzeć do Pisma, i znaleźć kilka faktów na temat Abrahama, Izaaka, Dawida, Józefa, Maryi – to większość imion pozostaje trudna do wymówienia i być może nieliczni są w stanie powiedzieć coś o nich. Dobrego lub złego, jak to w rodzinie bywa. A mam wrażenie, że zasługują na to, skoro znaleźli się na tym słowem malowanym rodzinnym portrecie Jezusa.

Gdybyśmy mieli taki opis, poszerzony o krótkie podsumowanie ich życia w tym, co odnosi się do Boga i człowieka – byłoby nam łatwiej odnaleźć się w tej grupie. Zobaczyć to, co jest chyba jedną z myśli przewodnich, które kierowały Mateuszem Ewangelistą, kiedy układał tę misterną kompozycję imion, relacji, zależności. Plątaninę ludzkich losów,

ścieżek i dróg, po których szli prosto, błędzili, zawracali by znów się zgubić.

Ten tekst nie ma nas nużyć. Ma ukazać w pełni konsekwencję Boga zstępującego po drabinie ludzkiej historii i losów aż do skalnej groty w Betlejem i leżącego przy ostatnim jej szczeblu żłobu. Nie schodził po szczeblach wybranych, wypucowanym owiniętych w atlas, posypanych złotem. Schodził coraz niżej po takich stopniach, jakie były, w pełnej o nich prawdzie – czasem chwalebnej, czasem rodzącej odrazę. Bez upiększania, bez sztuczności, bez tak modnego dziś retuszowania.

To jest największa tajemnica tego czasu, i Świąt, które tak blisko, którą nieudolnie staramy się sobie przekazać opowiedzieć, uczynić naszą. Nieskończony, doskonały Bóg, który jest Miłością staje pośrodku ludzkiej historii. Nie wybiela jej, nie usuwa w cień, czyni ją częścią swego dziedzictwa według ciała, z całym bagażem ludzkiego doświadczenia w życiu, w wierze, w miłości – i ich zaprzeczeniu, w śmierci, rozpacz, nienawiści. Nie wypiera się człowieka, ubiera się w niego, staje się nim. Nasza krucha logika i rozumowanie muszą się o tę prawdę rozbić, muszą zacząć wołać o wiarę, bo tylko ona jest pomocą, kiedy dziś stajemy wobec tego najbardziej niezwykłego drzewa rodowego, jakie widział świat.

Chrystus, choć w tej Ewangelii nie wypowiada ani jednego słowa, jest tej Ewangelii treścią, życiem, zdaje się mówić: choć, popatrz, pomyśl o każdym z tych imion, o ich historii, wyborach, zobacz: stąd jestem, nie musisz się mnie bać, nie możesz mi zarzucić, że nie rozumiem, co znaczy być człowiekiem. Ja wziąłem cię na ramiona, ja scaliłem twoje pęknięcie, ja uleczyłem twój ból, ja wybaczyłem ci zdradę, ja pokazałem ci, co to znaczy miłować – bez retuszowania, bez żadnych magicznych sztuczek, drogi na skróty. Od samego początku, od pierwszego kroku, od zimna dotykającego mnie przez cienką pieluchę, kiedy leżałem na skalnej półce, od leku mojej Matki przed siepaczami Heroda, od niepewności Józefa, kiedy zawijał nasz skromny dobytek i uciekał, czyniąc nas migrantami, ludźmi w drodze. Byłem z tobą, kiedyś się okazało, że nie masz już wina, i byłem z tobą człowiekiem, kiedy w pokoju na górze leżała twoja martwa córka i wołałaś w rozpacz, byłem z tobą na brzegu jeziora, kiedy zamyślony czyściłaś sieci. Byłem dla ciebie w Ogrójcu, kiedy cały ten ludzki rodowód i wszystkie pokolenia, które przyjdą zrzuciły na mnie brud swego życia – ciebie wtedy ze mną nie było, spałaś, nie miałaś siły czuwać. Byłem z tobą, kiedy ryglowałaś ławami drzwi wieczernika i chowałaś pod pazuchą dla obrony przytępione kuchenne ostrze, z obawy przed nieznanym. Byłem, i otworzyłem drzwi twego strachu, twojej winy, twojej winnicy! To znaczy, że Chrystus stał się jednym z nas. Nie po to, żeby z dystansu się przyglądać, ale żeby wkroczyć w sam środek

wydarzeń, w sam środek historii i odmienić jej bieg, przemienić jej sens, stać się jej Początkiem i Końcem, Alfą i Omegą. To jest ten najgłębszy wymiar Adwentu. Nie tyle zrozumieć, że Bóg stał się człowiekiem, ale – że stał się człowiekiem mnie, dla nas i dla naszego zbawienia.

Wszystkie adwentowe znaki, ryty, nabożeństwa, modlitwy odzwierciedlają tę prawdę i wezwanie do jej rozpoznania w swoim życiu. Do tego zmierza prostowanie naszych ścieżek, wypełnianie się światłem oraz czuwanie.

Czuwanie ma wiele znaczeń, bliższych i dalszych. Czuwanie najczęściej kojarzy się z nocą. Czuwali pasterze nieopodal Betlejem, czuwali apostołowie na modlitwie w Wieczerniku. Ale też brak czujności zgubił Judasza, i powalił snem wybranych uczniów w ogrodzie *Gethsemani*. Czuwać to żyć w nocy, ale nie stać się częścią nocy. Tak, jak nie staje się częścią nocy płonący płomień pochodni. O płomień trzeba dbać, karmi się naszą uwagą, troską. Płomień, którym się nikt nie zajmuje, który nie towarzyszy czuwaniu szybko zgaśnie. Nie ma sensu czuwać, jeśli na nikogo nie czekam. A nasze czuwanie to oczekiwanie na najważniejsze spotkanie naszego życia, nasze czuwanie to też oczekiwanie na powrót Króla – i tym jest życie Kościoła. Nie w bezczynności, nie w bezpiecznym ciepłku, ale z gotowością przyjęcia, spotkania, zdania sprawy z zarządu.

Już niedługo będziemy uczestnikami wieczerzy wigilijnej. Postnej, prostej kolacji, która choć składa się z wielu potraw, zachowuje wstrzemięźliwość smaków, przynajmniej powinna.

Choć nie dzieje się przy stole ołtarza, to dzieje się przy ołtarzu rodzinnym, przy rodzinnym stole. Wszystkie ścieżki roku prowadzą nas do tej jedynej w swoim rodzaju wieczerzy ludzi czuwających. Zbiega się w niej tyle sensów i znaczeń, że jej dobre przeżycie jest zwieńczeniem Adwentu, zwieńczeniem rekolekcji i osobistego wysiłku prostowania swoich ścieżek. Ta wieczerza trochę przypomina Paschę, moment przejścia z ciemności do światła narodu wybranego - czyli nas, jak tu jesteśmy.

Postność, prostota tego posiłku nie odbiera mu godności i powagi. To posiłek ludzi w drodze, nie biesiada, w czasie której można się wygodnie rozłożyć, delektować, czekać na kolejne kulinarne zaskoczenia: wszystkie jej smaki dobrze znamy, nosimy je w sobie i czekamy na nie. Gromadzi nas w jedno – i często bywa pierwszą od lat, pierwszą po długim czasie, bywa, że jedyną w roku, a czasami ostatnią okazją, aby celebrować jedność rodziny, bycie razem. Ta jedność zaczyna się od gestu łamania się chlebem. Małym, kruchym kawałkiem mącznego ciasta, w którym zawarta bywa niezwykła siła. Często wraz z jego suchym trzaskiem potrafią pęknąć, złamać się solidne mury – złości,

obojętności, wrogości, bywa, że i nienawiści. Często suchość tego chleba zraszają nasze łzy, słowa stają się małe, więzną w gardle. Niech to nie będzie nigdy chwila wykrztuszenia „zdrowych i wesółych” czy „najlepszego”. Łamanie chleba obrazuje z jednej strony łamanie wszystkiego, co nas dzieli, nie będzie dla nas chrześcijan zapowiedzią Eucharystii, łamania chleba, który daje nam życie, który czyni nas jednym. To łamanie, pomnażanie otwiera nas na kolejną rzeczywistość tego wieczoru, tej nocy, która zajaśnieje światłem. Puste, białe nakrycie, wolne krzesło. Luka we wspólnocie ludzie, którzy się znają, kochają, godzą – otwartość na nieznanego.

Nie jest to tylko piękna tradycja. I niech nie będzie na pokaz, jak w pewnej rodzinie, w której matka, szykując wigilijny stół, najcenniejszy, najpiękniejszy talerz stawiała na tym pustym miejscu, oczekującym – a w tym samym czasie ojciec wyciągał z dzwonka u drzwi baterie, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Nie jest wigilijny stół zamkniętą enklawą sytego ciepła, miłego oku światła, ale jest pewną deklaracją, którą składamy wobec świata – że jesteśmy gotowi przyjąć tych, którzy są w drodze, jakkolwiek rozumianej, nie tylko symbolicznie, ale faktycznie. Że nasze wspólnoty nie są twierdzami bez wejścia. Że nasze światło nie świeci tylko dla wybranych, czystych, pachnących.

Bo takich domów i wspólnot jest dość, od zawsze. Zamkniętych. I to w nich nie znalazło się miejsce dla ciężarnej kobiety, która czuła już porodowe bóle, dla jej wystraszonego męża, który zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, pełnego obaw, że zawiódł tych, których kocha, że musi znaleźć miejsce na spoczynek. I znalazł to miejsce, ale nie tam, gdzie szukał. Nie było ciepłej wody, nie było prześcieradeł, tylko rąbek chusty, nie było ogrzewania, tylko oddech zwierząt. Ale dokonała się rzecz najważniejsza. Spełniła się Obietnica. Kroczący po drabinie historii postawił ostatni i jednocześnie pierwszy krok i spoczął w kamiennym żłobie. Człowiek przestał być sam. Niebo nie było już „tam”, ale stało się „tu i teraz”. W wielkiej pokorze wobec człowieka, w postawie sługi, w żebraniu o miłość rozpoczęło się dzieło naszego odnalezienia i odkupienia.

Niech to białe, puste miejsce, gotowe na przyjęcie niespodziewanego będzie najważniejszym miejscem przy naszych stołach, nie będzie znakiem naszej gotowości na przeżycie Tajemnicy! Niech stanie się pierwszy akordem przeżywanych już Świąt. Jeśli ten pierwszy akord wybrzmi, powstanie pełen pokoju rodzinny portret, który zbierze w jedno różne charaktery, osobowości i historie życia, pokolenia, które minęły, i te, które czekają na barszcz czy karpia – i te, które jeszcze nie objęte wzrokiem. Jeśli wybrzmi, po raz kolejny dokona się to, o czym przed chwilą słuchaliśmy. Słowo znalazło swój dom. I znalazło go wśród swoich. Wśród nas.